Nr. 39 Rok 3 Kraków, dnia 27 września 1942. 40 gr.

Ilustrowany Kurjer Polski



MŁODE WINO

Fot.: Retzlaff

TYGODNIK WOJENNY

Rozstrzygająca bitwa o Stalingrad, twierdzę położoną nad Wołgą, stanowi obecnie jak i poprzednio punkt kulminacyjny toczących się wydarzeń. Największy dramat tegorocznej, wschodniej wyprawy wojennej zbliża się do końca. Prawdopodobnie już ostatnia wielka dostawa Anglików dla Sowietów, przed zniszczeniem drogi dowozowej do Murmańska, odbywająca się w ramach silnie chronionego konwoju złożonego z 45 okrętów handlowych wiozących materiał wojenny zakończyła się fiaskiem. Niemieckie łodzie podwodne i samoloty bojowe nękały w ciągu wielu dni konwój płynący przez Ocean Lodowaty Północny licznymi atakami i w rezultacie zniszczyły 38 okrętów handlowych o łącznej pojemności 270 000 brt.

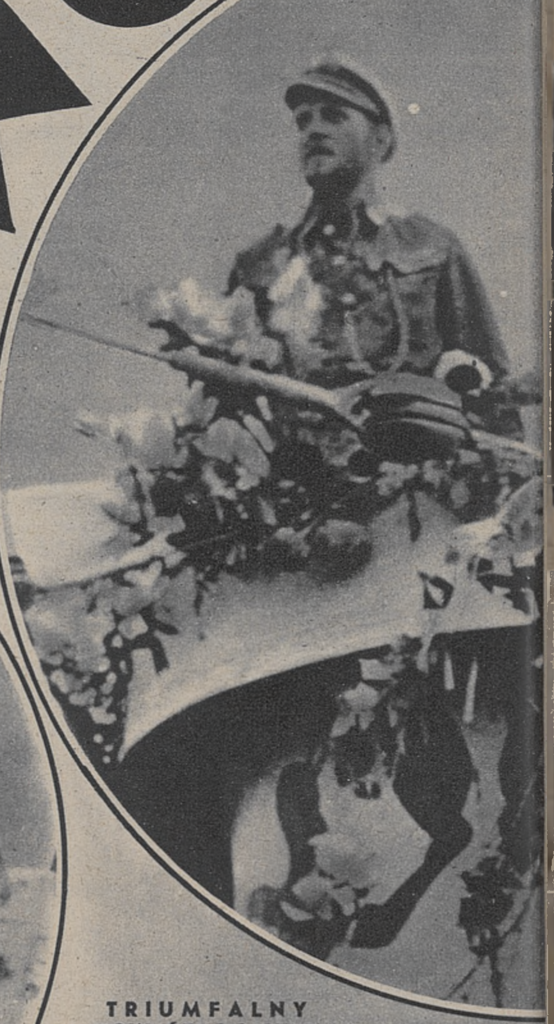
Również na Morzu Karaibskiem, u wybrzeży Afryki, w zatoce św. Wawrzyńca i na Oceanie Lodowatym Północnym zatopiły niemieckie łodzie podwodne w twardej walce z przeciwnikiem 19 dalszych okrętów o łącznej pojemności 100 000 brt.

Zamierzone na wielką skalę lądowanie Anglików pod Tobrukiem zakończyło się zupełną ich klęską, dzięki energicznej obronie wybrzeży przez mocarstwa osi. Natomiast niespodziewany atak włoskich łodzi szturmowych przeprowadzony w zatoce Gibraltaru na stojące w porcie okręty wojenne został uwieńczony zniszczeniem jednego nieprzyjacielskiego okrętu wojennego i uszkodzeniem pięciu innych.

Jest to bilans wydarzeń z ostatnich tygodni, niedwuznaczny dowód silnej aktywności niemieckich łodzi podwodnych na morzach świata.



MAŁY ALI WIDZI WOJNĘ
W jednej ze wsi stepowych położonych na skraju Kaukazu stoi młoda Tatarka ze swym najmłodszym dzieckiem na ręku i przygląda się przemarszowi wojsk niemieckich i rumuńskich.



TRIUMFALNY POWRÓT DO OJCZYZNY
Kwiaty i girlandy z kwiatów zdobią zwycięską łódź podwodną płynącą pod dowództwem kapitana Toppa, odznaczonego krzyżem walecznych z liściem dębowym i mieczami. Łódź zawija właśnie do jednego z portów macierzystych.



W kole:
„TOBRUK DRUGIM DIEPPE"
Lądowanie pod Tobrukiem przedsięwzięte przez Anglików pod osłoną wielkich sił morskich i powietrznych zupełnie się nie udało dzięki czujnej obronie wybrzeży zorganizowanej przez państwa osi. Nasza ilustracja przedstawia oddział jeńców angielskich.



LAS DĘBOWY ZAGRADZA DROGĘ
Na przestrzeni całych kilometrów pościnały wojska sowieckie dęby rosnące wzdłuż drogi i zagrodziły nimi przejście, by ujść przed pościgiem Niemców posuwających się przez Kaukaz do wybrzeży Morza Czarnego. Pionierzy niemieccy usuną w krótkim czasie te przeszkody przy pomocy pił motorowych.



Z WALK O TONAŻ NA ATLANTYKU
Parostatek handlowy aliantów ugodzony torpedami niemieckiej łodzi podwodnej zanurza się w głąb oceanu Atlantyckiego przy wtórze przejmującego gwizdu syreny.

NNY

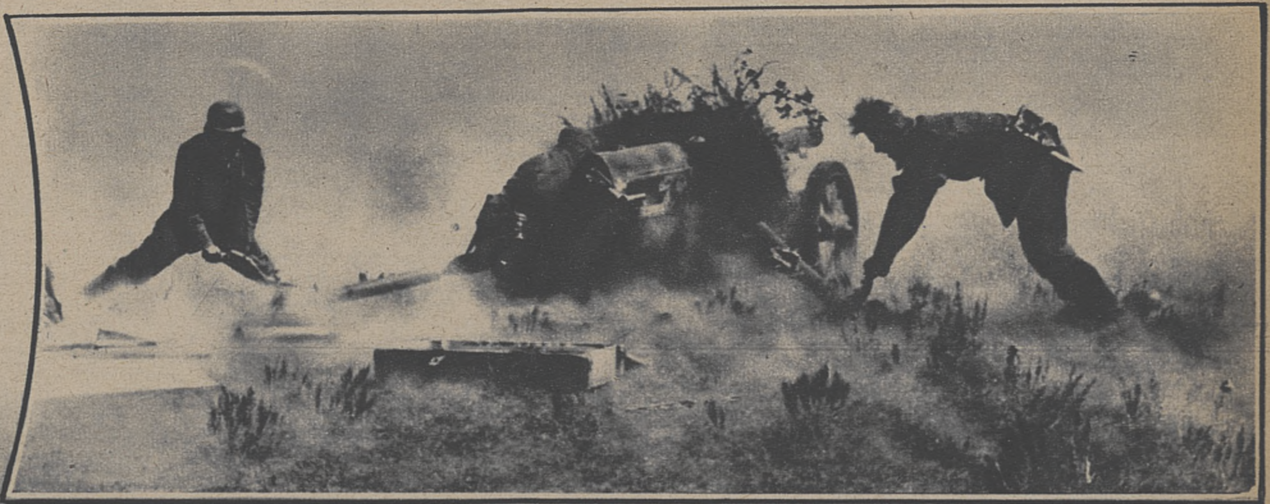






U góry:
TAM PO PRZECIWNEJ STRONIE ZNAJDUJĄ SIĘ SOWIETY!
Niemiecki oddział wywiadowczy wytropił pozycje Sowietów, ukrytę w wąwozach Kaukazu i zwraca ku nim lufy swych karabinów maszynowych.

U góry na prawo:
ZBIEG SOWIECKI
Odprowadza go niemiecki żołnierz z pierwszej linii bojowej na tyły.



„UWAGA! CZOŁGI SOWIECKIE NA PRZODZIE!"
na ostrzeżenie to działa obronne niemieckich wozów pancernych zajmują pozycje i ślą swe stalowe pozdrowienia rosyjskim kolosom.



W STALINGRADZIE, TWIERDZY POŁOŻONEJ NAD WOŁGĄ
Reporter sowiecki w Moskwie opisuje ostatnie rozstrzygające walki tej potężnej bitwy jak następuje: „Bagnety, granaty ręczne i małe miotacze płomieni wyparły już od dawna ciężką broń w walkach o Stalingrad. W samym mieście leżą nieraz naprzeciw siebie niemieccy i sowieccy żołnierze piechoty często tylko oddaleni o 10 do 20 m". Nasza ilustracja przedstawia piechotę niemiecką, która na hasło do ataku opuszcza swe pozycje aby podjąć walkę o każdy dom.

Fot.: P. B. Z. 4
Scherl 2
Atlantic 1
SS KB. Altstadt 1
SS Kb. Immerseel 1



OPIUM



Serwis do palenia.



Mrok zapada. Pora do przeniesienia się w kraj marzeń i rozkoszy. Palarnie opium zapełniają się. Prowadzi do nich wąskie, z ulicy mało dostrzegalne wejście. Wchodzi się na duży dziedziniec. Dokoła pootwierane drzwi, korytarzyki, nisze. Wszędzie gwar. Jasno oświetlone okna. Tu sklep z figurami i innymi pamiątkami z Szanghaju, tam ze sukniami i biżuterią, gdzie indziej znów z kawałkami imbiru i ciastkami. Wszędzie pełno ludzi głośno rozmawiających.

Wchodzi się do jednej z nisz, stąd przez ciemny korytarzyk zakończony drzwiami do azylu szczęścia i upadku. Z boku jest lada, coś w rodzaju baru. Za nią olbrzymie, gliniane amfory napełnione wodą, w których przechowuje się opium w małych, wielkości kciuka, beczułkach. Kilka rzędów takich beczułek ustawionych jest w szafce obok. Do natychmiastowego użytku. Cienki, oszałamiający dym przepaja salę. Ściany i sufit czarne. Sala wypełniona po brzegi. Robi wrażenie podrzędnej spelunki, gdzie część gości uśpiona z nadmiaru alkoholu leży obok stołów. To sala dla pospólstwa, dla biednego ludu.

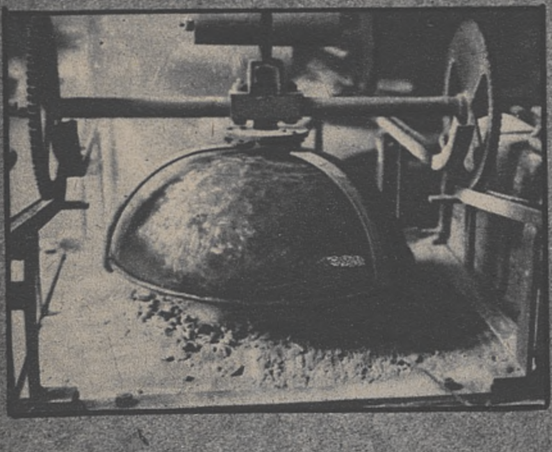
Schody, ozdobione w mosiężne ornamenty, prowadzą na pierwsze piętro, gdzie schodzą się bogacze. Tu znowu jest lada, za nią zbiorniki na opium z kości słoniowej lub rogu, obok wielka misa, w której czyści się fajki opiumowe. Ale szanujący się bogacz chiński pali zawsze tylko raz z tej samej fajki.



Miazga papaweru w przekroju.

Lada ustawiona jest w pewnego rodaju hallu otoczonym wielką ilością mniejszych apartamentów, separatek. Wszystkie są otwarte. Przy ścianie każdej z nich stoją niskie tapczany z hebanowego drzewa, bogato ozdobione w mosiądz, lustra i mozaikę. To łoża palaczy. Tam leżą ze skurczonymi nogami na poduszkach, z lubieżnym uśmieszkiem na twarzy, albo też ze straszliwie bladymi policzkami, oczami zapadniętymi, ustami wykrzywionymi, podobni do trupów. Różnie działa opium na ludzi. Jedni popadają w sen, otwierający im krainę baśni, w której znajdują spełnienie najskrytszych pragnień; inni zapadają w tak głęboki sen, że na czas jakiś nie mają żadnego czucia, żadnych myśli, są jakby martwi; inni jeszcze, nałogowi palacze, dla których zwykła doza narkotyku mało działa, odczuwają tylko przyjemne odprężenie umysłu i ciała, nie zasypiają w ogóle, stają się tylko jeszcze bardziej rozmowni niż zazwyczaj.

Dlatego też palacze opium lubią towarzystwo do palenia. Zapraszają swoich przyjaciół, każdy z nich kładzie się na osobny tapczan i „seans" się zaczyna. Dziewczyna, ubrana w czarną, prostą szatę i w spodnie tegoż koloru, wnosi na tacy „serwis" do palenia i herbatę. Przygotowania trwają długo i odbywają się bardzo uroczyście. Długą szpilką wyjmuje się z rogowej beczułki kroplę opium, przytrzymuje ją nad płonącym palnikiem spirytusowym dopóki nie zacznie syczeć. Powstaje masa miękka, elastyczna, podobna do plasteliny. Palacz ugniata ją dookoła szpilki, zanurza ją w beczułce i znowu przytrzymuje nad palnikiem. Czynność tę powtarza tak długo, aż uzyska t. zw. pigułkę opiumową. Poczem bierze fajkę do rąk. Jest to rurka najczęściej bambusowa, albo z kości słoniowej. 12 cm od jednego końca znajduje się otwór, do którego wkłada się opium. Goście w czasie



Suszenie masy przed dalszą przeróbką.

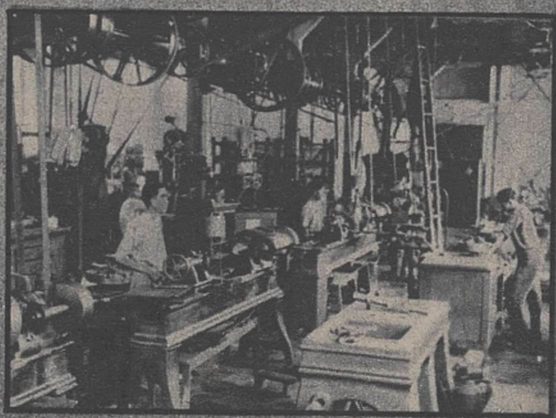


Wyjmowanie jej z pieca.

Masa opiumowa gotowa do wysyłki.



Tu wyrabia się łubki do przechowywania opium.





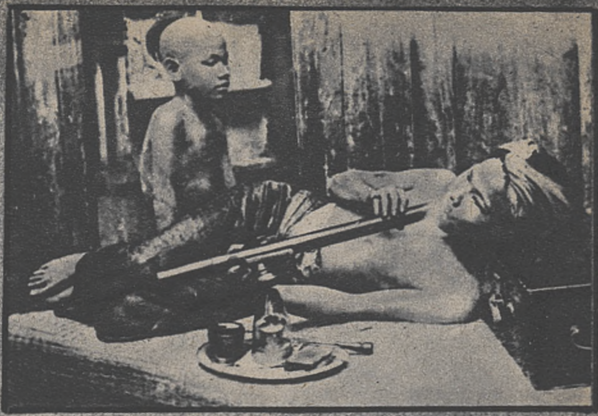
Kontrola łubek na ich precyzyjność w wykonaniu.



Karykatura z czasów wojny opiumowej.



Tak wyglądała wojna opiumowa.

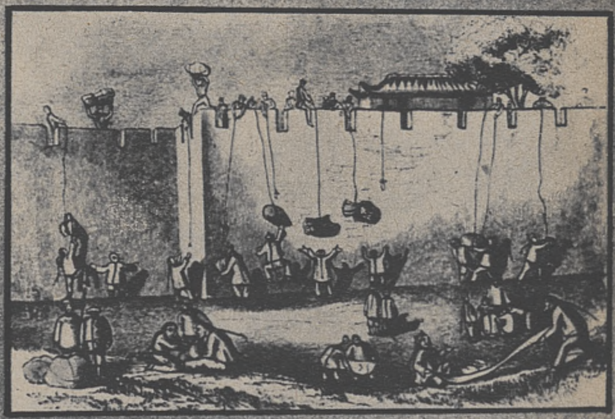


Fragment palarni opium.

palenia popijają herbatę i zabawiają się rozmową dopóki nie nadejdzie upragniony sen, odprężenie.

Są ludzie, którzy dla tego snu, który im wprost przynosi chwilowe zapomnienie poświęcają całodzienny swój zarobek, cenę krwawej pracy swojej. Zapominają o tym, że w domu czeka gromada głodnych dzieci. Myślą sobie może, że tych parę zarobionych „groszy" i tak nie wystarczy na potrzeby rodziny i rozpacz i lekkomyślność zapędza ich do palarni. Tam znajdują wytchnienie, zapomnienie. Ale na jak długo? Po kilkugodzinnym śnie wszystko się kończy, urojony „zamek na lodzie" runie i zjawia się szara rzeczywistość jak zmora piekielna. Człowiek budzi się z letargu z sinobladą, zapadniętą twarzą, obolałym ciałem, mętnym spojrzeniem. Z trudnością łapie oddech. Do pracy niezdatny. Często zdarza się, że po zażyciu odpowiedniej dozy opium następuje zatrucie organizmu!

Skąd się bierze opium, ten „owoc grzechu" ludzi słabej woli? Rodzi się pod postacią pewnego gatunku maku (papave somniferum) w Małej Azji, Persji, Indiach, a także mimo zakazu w Chinach. Zbiory odbywają się od maja do lipca i w jesieni. Główki nacina się poziomo i wydobywa się z nich wysuszony sok mleczny rośliny. Od jednej główki otrzymuje się 0,02—0,05 g soku. Z tej masy wygniata się kule, zapełniając nimi duże kosze. Transport odbywa się na mułach do portu (głównie do Smyrny i Konstantynopola). Tam przerabia się surogat na 10—12% związek opiumowy, skupowany w tej postaci przez rynki światowe głównie na cele lecznicze. Opium do palenia otrzymuje się w sposób bardziej skomplikowany, poddając go w ostatniej fazie fermentacji. Opium do palenia t. zw. czandu pochodzi głównie z Indyj Przednich, gdzie jest monopolem państwowym. Stąd sprowadza się go do Chin. Handel ten trwa już od XVII w. Rząd chiński, zdając sobie sprawę z ogromnej szkodliwości narkotyku i widząc zgubne skutki na swoim narodzie, z niechcęcią patrzył się na to. Zaczynały zachodzić zatargi między rządem chińskim a przedstawicielami rządu indyjskiego, które w końcu doprowadziły do wojny znanej pod nazwą wojny opiumowej (1840—1842). Chiny zwyciężone, skutkiem niższości swego oręża, zmuszone były zawrzeć pokój. Na zasadzie tego traktatu Anglia otrzymała wysepkę Hong-Kong i haniebny monopol przywożenia opium do kilku portów. Bardzo ważną rolę odgrywa opium w świecie medycyny. Zgubna jest dla palacza, ale niezastąpiona dla chorego. Opium występuje w różnego rodzaju środkach leczniczych, głównie jako środek uśmierzający ból. Po raz pierwszy użyto je jako lekarstwo przez Scriboniusa Largusa około 47 r. po Chr. przeciw cholerze, czerwonce i rozwolnieniu. W w. XVIII i XIX wystrzegano się zażywania opium jako środka trującego.



Szmugiel z czasów zakazu wprowadzenia narkotyku.



Całodzienny, krwawy zarobek idzie na marne.



Elita chińska w „ekstazie".

Fot.: Archiw. Historie Photo: 3 Service général de la Presse 1

Prywatne życie Gigliego

Kto nie zna Beniamino Gigli? Kto nie widział go na ekranie i nie uronił łez słuchając jego cudownego, rozdzierającego serce śpiewu? Kto nie był choć na jednym z jego filmów: „Pieśń matki", „Nie zapomnij o mnie", „Serce moje należy do Ciebie", albo „Verdi"? Wychodzimy z kina przepełnieni ujmującą naturalnością i serdecznością mistrza, a ucho nasze pieści jego miły, ciepły głos.

Kto nie słyszał go przez radio, albo nie zachwycał się jego głosem przy gramofonie? A ilu ludzi było nawet w tym szczęśliwym położeniu usłyszeć go osobiście wtedy, gdy Beniamino gościł w Polsce.

Gigli — ulubieniec kobiet i dzieci! Gigli — poważany artysta znawców muzyki! Jakimż on jest w domu, zdejmując z siebie maskę?

Zjawiamy się pewnego dnia w jego willi w Rzymie i oto co widzimy i co nam mówi o sobie, o swoim życiu domowym:



„U, te, jak można tak fałszować! Kubuś, jeszcze raz: trala, lala, lala, laaaaaa!"



„Tam gdzie dawniej rosły kwiaty posadziłem jarzyny i chętnie je sam podlewam".



„Moje małe prześladowczynie. Wystarczy, gdy otworzę usta, już gromadzą się z wielkim piskiem koło mnie".



„Moja rodzina? Nie, tu występuję w roli ojca w filmie pt. „Pieśń matki" i ten słodki brzdąc, którego trzymam w ramionach, jest tylko moim partnerem".



„Moje ulubione zajęcie, któremu oddaję się codziennie przynajmniej pół godziny".

Fot.: Atlantic 5

POLOWANIE NA JELENIA

NOWELA JUGOSŁOWIAŃSKA — VELJKO PETROVIĆ

W lesie gdzieś huknął strzał. Zaraz potem, jakby cienie strzału, z dwu przeciwnych stron, z mrocznych gąszczy krzewów tarniny i ostrężyn odezwały się krótkie echa. Ojciec Sofroniusz, igumen [1]) z Sziszatowca, szarpnął głową w lewo i trącił po plecach woźnicę trzcinową laską z gałką z kości słoniowej.

— Stój! — i zaraz z tłumionym oburzeniem dodał cicho: — To Pipa.

Woźnica, nie odwróciwszy się nawet, po krótkiej chwili potwierdził z powagą:

— Koło trzech dębów, ojcze wielebny. Kulą. Pewnie jeleń. Pst, ojcze wielebny, brechanie jakby z Suchego Potoka. W takim razie to nie będzie on.

Zamilkli i igumen i woźnica. Wpatrzyli się w coraz to ciemniejszy, wilgotny półmrok niezliczonych pni, zasłuchali się i zamrugali oczyma. Z oddali, która wydawała się coraz to dalszą i coraz to głębszą i nieprzeniknioną, dochodziło przerywane, ostre i zajadłe szczekanie, jak gdy psisko drepta z oburzenia, że zwierzyna umyka, a pan nijak nie rozumie jego nerwowego wskazywania śladu. Słychać było jeszcze jakby rozpaczliwe i bolesne skomlenie, po czym umilkł i ten jedyny dźwięk w ogromnej ciszy, jak gdyby zgasł jedyny migotliwy kaganek w olbrzymiej, mrocznej komnacie.

— Teraz go goni, — szepnął woźnica. — To coś takiego, jakby ujadanie Diany.

Naraz wśród ciszy i uwagi wytężonej w głąb leśnego gąszczu dało się słyszeć z drugiej strony wzgórza trzaskanie gałązek, szelest liści i zadzieranie się kolczastych krzaków o sukno. Igumen i woźnica zwrócili się na prawo i znieruchomieli zaskoczeni tym. W bezpośredniej bliskości przesmykiwał się człowiek między pniami i poprzez zarośla. I chociaż się śpieszył, to jednak schylał się bacznie, chroniąc oczy przed gałęziami. Gdy się znalazł na dziesięć kroków przed bryczką, podniósł swoje jedno, głęboko osadzone czarne oko, zatrzymał się na chwilę, pochylił się znowu i podniósłszy ręką wąziutki otok [2]) swego chłopskiego czarnego kapelusza, chciał przejść leśną drogę i zniknąć między drzewami.

Lecz igumen zerwał się.

— To ty, Pipo?

Człowiek obrócił się nieco w bok i nie podniósł głowy.

— Ja jestem. — I chciał pójść dalej.

Igumen podjął dalej z zaciekawieniem:

— Tyś to strzelał przed chwilą? Co?

Pipie skurczył się szyderczo prawy kąt ust.

— Ja lepiej chowam moją strzelbę. Gdybym to ja był, to to psisko nie zdzierałoby się i nie mordowało pod górę. Nie jestem leśniczym bogatego klasztoru, żeby psuć proch na wiatr. To wasz Proka. To on goni jelenia w Markowym Gaju.

— A dlaczegóż ty nie idziesz za jeleniem? Gdzież masz strzelbę, hę? — wypytywał go igumen, strzelając oczyma.

Pipa wzruszył ramieniem i z podełba rzucił okiem na bryczkę.

— Nie zajmuję się już tym.

— No, no! Pewnie ci w Mitrowicy wybili z głowy raubszycerkę [3]).

Pipa milczy i chciałby odejść.

— Gdzie ci się śpieszy?

— Idę do domu nakarmić wieprze.

— Kiedyż cię wypuścili?

— Wczoraj minął tydzień.

— Długo to siedziałeś w Mitrowicy?

— Sześć i pół miesiąca.

Igumen ścisnął kurczowo laskę.

— Mało, Pipo, mało za jedno życie ludzkie. Ale jeśli się wymigałeś z palców ludzkiego sądu, to nie wymigasz się z bożego. Gdzie się twoja dusza znajdzie, Pipo? Zabić ojca pięciorga dzieci!

Pipa, nie podnosząc głowy, odpierał od siebie ten zarzut:

— To nie ja, ojcze wielebny. Bóg wie, kto go zabił! Klasztorny leśniczy zawsze ma pełno nieprzyjaciół.

Igumenowi uderzyła krew do twarzy. Wstał ze siedzenia i zgrzytając zębami, wywinął laską w stronę Pipy.

— Zbrodniarzu, morderco, co to udajesz świętego, kiedy tylko ty mogłeś go zabić. Zabiłeś mi najwierniejszego człowieka, bo nie chciał pozwolić, żebyś mi wytrzebił wszystką zwierzynę, bo nie chciał się skumać z tobą jak ten łotr Miladin. Ale przyjdzie i na ciebie czarny dzień! Popatrz mi w oczy, jeśli śmiesz, nicponiu!

Pipie błysnął płomień z owego jednego oka, popatrzył chwilę w igumena, zamamrotał coś i wszedł w las.

Igumen opadł na siedzenie. Drżał cały z gniewu. A woźnica zwróciwszy się profilem wymruczał przez zęby:

— Dajcie spokój, ojcze duchowny! To niebezpieczni ludzie.

— Ech, co tam, jedź dalej!

Igumen zadyszał się i dławił ze złości, a woźnica, jak gdyby wiedział, że jego pan będzie się oglądał za Pipą, nie odwracając się upominał go:

— Niech sobie idzie w diabły. Skurczcie się, ojcze duchowny, we wózku, póki się nie straci. Bóg wie, może kropnąć.

— Czemżeby?

— E, strzelbą, swoją strzelbą. Zawsze ją ma pod ręką, gdy potrzebuje. Diabeł wie, gdzie on ją chowa. Może ich ma kilka takich i trzyma je po dziuplach drzew. Nieboszczyk Jowa natknął się raz na jedną taką w dziupli jednego dębu. Szukał kun, a wygarnął strzelbę. Pamiętacie, wielebny ojcze? Krótka jak ręka, że można ją nosić pod kapotą. Kolba powyginana, pęknięta, cała powiązana drutem, a lufa ledwie na piędź długa. Jak rewolwer. Ale na co on ją weźmie, to już napewno legnie. Ja myślę, Panie Boże odpuść, że on nieczysty. Ani chybi, musiał się zwąchać z Nieczystym.

Igumen przerwał mu niecierpliwie jak ktoś, kto nie słucha co drugi mówi, bo zajmują go własne ciężkie myśli.

— Idzie on teraz do domu?

— A pewnie. Nie był ojciec wielebny nigdy u niego? No, pewnie, przepraszam, że pytam, gdzieby tam ojciec duchowny do raubszycera chodził! Tak mi tylko przyszło na myśl, bo to okrutnie ciekawe. Dziwię się wprost, że to święty monaster [1]) ścierpi, żeby taki raubszyc mieszkał w jego lesie. Powiadają, że już nieboszczyk igumen Sergiusz chciał go wypędzić, ale, powiada, sąd nie pozwolił. Powiada, że monaster nadał takie prawo jego dziadkowi, który uciekł z Bośni, żeby sobie tu wykarczował pół jarzma lasu i sklecił chałupę. Żyje tutaj jak wilk. Wprost strach człowiekowi przechodzić tędy. Jakoś zawsze wszystko jakby zapchane — i drzwi i okna. I żona jego jak tylko się pokaże od progu do chlewa, to zawsze zamotana w chustkę. Ani jedno z domu nie chce popatrzeć za człowiekiem. Dziwni ludzie. I z nikim nie przestają, z nikim się nie zadają. Wszyscy się jakoś wystrzegają iść do nich, jakby się bali jakich czarów. I mnie też wprost strach bierze, jak przechodzę tą leśną drogą, a dojdzie do mnie dym stamtąd, albo usłyszę siekierę. Ech, Pan Bóg jego wie, na co mu przyjdzie. Bo to, ojcze wielebny, straszna biedota. Żadnego pożytku z tej raubszycerki, a głowa ciągle w torbie.

Jesień

Dnie cieszą się soczystą dojrzałością sadów,
dnie płaczą nad płachtami niezoranych rżysk,
na ranki i wieczory siwe mgły się kładą,
niżąc na cudne „wczoraj” zachmurzone „dziś”.

Godziny umęczone, chwile pracowite
coraz skąpiej się sączą z najaśnicy dnia.
Słońce dzieli swą drogę na rzuty i chwyty,
na barwę, kształt i ciężar, blaski w pługu lśniach.

Wiatr oślepił splątane skrzyżowiska ulic;
wiatr dmie poprzez gościńca senność pośród lip;
drzew pozłacane szepty do progów się tulą
i płamią się słonecznie na łzawiskach szyb.

Jesień!... Z tęczy rozpiętej ze wschodu po zachód,
poprzez mgieł srebrnocichych, miękkościelny próg,
— kiedy minął horyzont ostatni klucz ptaków —
zeszła na spopielałe wędrowiska dróg.

Lwów. Bronisław Król

— To dlaczegoż się nie wyrzeknie gałgaństwa, kiedy w końcu będzie musiał dać głowę?

— Taka krew, ojcze wielebny, to już taka krew. Jak mu zeszłego roku umarło tamto dziecko, to my poszli do niego, bo przecież koniec końców i on też człowiek, tośmy go pytali. A on tylko się pogładził po czole, westchnął i powiedział: — Wy tego nie wiecie, co to za rozkosz zabić sarnę w cudzym lesie, myśliwemu przed nosem. Powiada, że nigdy nie potrzebuje psa, on wprost czuje, gdzie jest zwierzyna. Oko ma, że warto opowiadać. Potrafi na sto metrów przed sobą w czasie orania zobaczyć zająca, jak przycupnie pod bruzdą, a wtedy skradnie się do niego jak kot, a gdy wypali, to — jak sam powiedział — nigdy nie chybi. Nosi tylko jeden, dwa naboje, dobrze prochem podsypane. Przez to też oko stracił. Więcej nie może ukryć.

— Strzelaliście kiedy z nim do celu?

— Namawialiśmy go na jesieni w rodzinne święto, ale nie chciał. Powiada, że nie pędzi go żadna wewnętrzna potrzeba, aby strzelać „do szajby”. Nie może, powiada, strzelać do martwej rzeczy. I co dziwne, powiada, że on nawet do zwierzyny nie bije jak inni ludzie. On nie musi, powiada, nawet widzieć sarny; wystarczy, jak ją tylko zauważy, a wtedy oczy nabiegają mu krwią i już ją czuje. To nie jest czysta sprawa, wielebny ojcze.

— Jak myślisz, da sobie z nim radę Proka?

— He-he, pewnie, drab jest i ten Proka, he-he! Niedługo będzie mógł wytrzymać jeden obok drugiego. Jak się tylko raz kiedy spotkają przy jednej robocie na odległość strzału, to pewnikiem jeden z nich się wyciągnie. Boję się o Prokę. Gorący jest. Jowa był chłodniejszy, a przecie jednak oberwał.

— Jak mi i Prokę zabije, przeklęty zbój, to ja sam, gdzie go najpierw zdybię, zastrzelę go jak wściekłego psa!

— O...! Słyszycie, ojcze wielebny?

Zatrzymali się znów. Coraz bliżej, jak gdyby z góry na dół toczył się bronzowy dzwonek, rozlegało się ujadanie. Za kilka sekund, pędząc z ukosa, przeleciał mimo nich zasapany, żółty ogar, z całą zaciekłością myśliwskiej namiętności tropiący ślad pod swoją wilgotną i lśniącą niuchą. Zaraz za psem dał się słyszeć cichy gwizd.

Woźnica szepnął:

— Proka.

Za ich plecami przebijał się biegiem wysoki człowiek ze strzelbą w opuszczonej ręce.

Igumen krzyknął:

— Proka!

Człowiek wzdrygnął się i stanął. Był zmordowany, więc odsunął kapelusz na tył głowy i dysząc ciężko, otarł spocone czoło. Twarz i całe czoło miał opalone, gdzie go tylko mały, okrągły zielony kapelusz z kozią brodą w tyle nie chronił od słońca i wiatru. Wskutek tego ciemnego koloru twarzy jego modro-siwe, świecące oczy, zimne jak szlifowana i ostra stal, jeszcze bardziej się wyróżniały. Tak samo i jego potężne, płowe wąsy, które wydawały się jakby wybielone w jakimś ogniu.

— Cały dzień już gonię jednego tęgiego jelenia. Musi być z Elcowego lasu. Będziecie mieć, wielebny ojcze, jeleniego mięsa na świętego Jerzego. Z Bogiem!

Igumen zawołał za nim:

— Uważaj, żebyś go dziś jeszcze dostał pod strzelbę. Inaczej już go do świtu Pipa obedrze.

Proka mrugnął i uderzył po kolbie:

— Wara Pipie nawet się zbliżyć! Z Bogiem, ojcze wielebny!

Proka pobiegł w lewo, w stronę dolinki tak zwanego Suchego Potoka, bowiem wiedział, że psisko w tę stronę napędzi jelenia. Oddalał się biegiem, lecz nieustannie utrzymywał kontakt ze swoim psem, gwiżdżąc bez przerwy jak gdyby wabił ptaki. Gdy dotarł do jaru, jaki wyżłobiły periodyczne bujne potoki i w głębi którego między szerokolistnemi paprociami tu i tam ledwie czasem zalśniła cienka i skryta struga wody, gwizdnął silniej i cmoknął językiem na znak, że tutaj chce się zatrzymać. Pies z daleka szczeknął mocniej kilka razy, jak gdyby dawał znak, że zrozumiał swego pana, po czym podjął dalej swoje przyśpieszone i ostre ujadanie.

Lecz w tym samym momencie, gdy leśniczy chciał właśnie usiąść na mchu, by oparłszy się o pień buka, wyciągnąć nogi i dla wszelkiego bezpieczeństwa zbadać ładunki w obu lufach, zaszeleściło coś niedaleko niego, jak gdyby coś, człowiek czy zwierzę, skradało się ku niemu. W ten sposób ślizga się lis, dziki kot, lub człowiek.

Proka skoczył, lecz nie zdążył jeszcze znaleźć się za bukiem, gdy w odległości piętnastu metrów między dwoma grabami ukazał się Pipa. Wystawił głowę jak przez drzwi i strzyże oczyma na wszystkie strony, a w ręce jego ów rupieć-strzelba. Proka zaciął zęby, zbladł i — tik! — strzelił. W tej samej chwili, z szybkością samego leśnego zwierza, porwał się i Pipa. W jednym momencie obydwaj podnieśli strzelby i schowali się każdy za drzewo.

...Cisza. Zbutwiałe, zeszłoroczne liście wonieją przekisłym winem i grzybami. Las dyszy ogromnym oddechem olbrzymiej katedry, w której proste, gładkie pnie stanowią filary, a sklepienie konary, wplecione jedne między drugie. Gdzieś daleko zamiera drobne ujadanie, jak mucha na wielkim oknie...

Owi dwaj ludzie przylepili się do pni jak rysie do gałęzi, czernią im się tylko dwa okrągłe wyloty luf, a nad nimi błyszczy bez mrugnięcia dwoje oczu. Jak nocą w stodole iskra pożaru, tak u Proki tli, rośnie i wybucha wściekłość i nienawiść właśnie za tę głuchą, zieloną ciszę i za tę napiętą, żywą nieporuszoność.

— Spuść strzelbę, Pipo i chodź tu!

Pipa nie rusza się i nic nie mówi.

— Nic ci nie pomoże, przechytrzyłeś. Poddaj się lepiej w spokoju, bo inaczej zastrzelę cię jak psa!

— — — — — — — — — — —

— Nie uciekniesz. Do jutra będę tak czekał tutaj na ciebie. Nie możesz się wykręcić. Jak mi oddasz strzelbę, to cię puszczę.

— — — — — — — — — — —

— Pipo, na ojca twojego raubszycerskiego, coś się tak teraz schował jak flądra! Wyłaź-no, tchórzu jeden, teraz przede mnie, jeśli masz odwagę!

— — — — — — — — — — —

Proka trząsł się ze złości. Nie mogąc się opanować, wyskoczył zza drzewa i uderzył się w piersi.

— Masz, strzelaj tu, sławny strzelcu, strzelaj śmiało, jeśli masz odwagę!

Proka odchodził już od zmysłów z wściekłości. Coraz śmielej wyzywał, aby tylko wywabić Pipę. Wyskakiwał z ukrycia, aby tylko tamten wypalił, bo wiedział, że Pipa nie ma więcej jak dwa ładunki. W końcu, gdy tamten nawet nie ruszył się z miejsca, jak gdyby mu się głowa przylepiła do kolby, zamierzał już Proka strzelić i podbiec do niego — niech będzie co chce. Przezywał go najobelżywszymi wyzwiskami i oglądał się, z której by tu strony go podejść, gdy psisko zaczęło się znów zbliżać. Ujadanie jego dzwoniło triumfalnie. Nawet Proka dobrze nie zauważył, co mu pies chce zakomunikować, aż tu zaprychało owo swoiste kasłanie, jak gdy jeleń dziesięciolatek z wyciągniętą szyją pędzi przez las i łamie wszystko naokoło swymi potężnymi rogami.

Trwało to ledwie parę sekund, aż nagle, na trzydzieści metrów przed leśniczym, z prawej strony za Pipą wyskoczył rogaty jeleń i chciał przebiec jar.

W tym samym momencie Pipa obrócił się, wy[illegible]nął naprzód — padł strzał. Lecz zaraz po nim wystrzelił i [illegible] czy. Jeleń, ugodzony w skoku, ryknął i zwalił się, a Pipa skoczył na palce i ze strzelbą wzniesioną nad głową obrócił się raz wokół siebie i padł na twarz.

Z SERBSKIEGO TŁUMACZYŁ W. PODMAJERSKI

---

[1]) igumen — przełożony klasztoru obrządku wschodniego.
[2]) otok — tu sznur.
[3]) raubszycerka — kłusownictwo.

[1]) monaster — klasztor w kościele wschodnim.

SŁÓWKO O MUZYCE

— Franuś, pójdziemy dzisiaj na muzykę? — pyta się Antek swojej dziewki od serca.

— A dyć, tak lubię słuchać muzyki.

Mają tu na myśli wiejską orkiestrę dętą. Ona jest dla nich muzyką.

— Moja pani, żeby pani wiedziała jaka nasza Elwirka muzykalna! Każdy kawałek co usłyszy zaraz potrafi odśpiewać na pamięć.

Za czym i śpiew jest muzyką. Każda najprostsza piosenka, którą ktoś z nas sam odśpiewa czy zagwiżdże; każda pieśń, którą na koncercie wykonywa śpiewak-artysta; śpiewy wykonywane przez chóry; gra organów w kościele, czy gra orkiestry wojskowej, i to co usłyszymy w najrozmaitszych okolicznościach życia zbiorowego: w sali koncertowej i w teatrze operowym, w sali tanecznej, kawiarni i w kinie dźwiękowym, co poznajemy dzięki płycie gramofonowej i radiu — wszystko to nazywa się muzyką. Jedna muzyka wykonywana jest głosem ludzkim i nazywamy ją wokalną, inna przez jakiś instrument i nazywamy ją instrumentalną.

Muzyka jest sztuką, tak samo jak poezja, malarstwo, rzeźba, czy architektura. Najbardziej zbliżona jest do poezji i z nią razem powstała. Widzimy to złączenie melodii i słowa szczególnie w muzyce starożytnej, w muzyce religijnej liturgicznej, a także w muzyce ludowej.

Muzyka narodów starożytnych (egipska, chińska, starohelleńska) była w przeważnej mierze wokalna i solowa, co najwyżej z towarzyszeniem instrumentu. O wysokim poziomie kultury muzycznej narodów starożytnych świadczy przekazana przez późniejszych pisarzy jej teoria a także wykształcone przez nią pismo muzyczne. W muzyce bowiem, tak samo jak w ogóle w życiu duchowym ludzkości, dopiero powstanie pisma stać się mogło podwaliną istotnej kultury, opartej na ciągłości tradycji.

W średniowieczu, w muzyce zachodnioeuropejskiej, powstają nowe gamy (gama, to szereg dźwięków, będący artystycznym materiałem kompozycji muzycznej), powstaje również nowe pismo muzyczne oddające znakami swymi w przybliżeniu kierunek melodii, jednakże bez oznaczenia wysokości dźwięków i ich trwania. Muzyka średniowieczna jest przede wszystkim muzyką kościelną, zwaną gregoriańską. Rozwija się również muzyka artystyczna świecka i dla niej powstaje osobne pismo muzyczne. Rozmaite instrumenty, np. lutnia, organy, posługiwały się znów odrębnym pismem. Stopniowo rozwija się z niego notacja dzisiejsza.

Epoka renesansu (1300—1600) doprowadza na niedościgłe szczyty rozwój wokalnej muzyki wielogłosowej. Artystyczne formy ówczesnej muzyki świeckiej wprowadzają coraz to silniej pierwiastek instrumentalny do wokalnej początkowo muzyki. Muzyka trubadurów i minesengerów wzbogaca ją pierwiastkami muzyki ludowej.

Wynalazek druku, a niezadługo potem wynalazek druku muzycznego (około 1500) stały się podstawą do intensywniejszego rozkwitu i szybszego rozpowszechnienia się, dzieł muzycznych, jakie zaznacza się wyraźnie od wieku XVII. Śpiew jednogłosowy z towarzyszeniem instrumentalnym staje się w tej epoce podstawą rozwoju **opery i oratorium**; śpiew wielogłosowy z towarzyszeniem instrumentalnym stwarza formę **kantaty**; powstają również obficie samodzielne formy instrumentalne, jak: **soneta, koncert, symfonia, suita itd.** Doszły one do rozkwitu w epoce klasycyzmu muzycznego w wieku XVIII i początku wieku XIX. Wiek XIX stworzył **dramat muzyczny.** Muzyka staje się programową, stara się za pomocą doboru barw instrumentalnych w charakterystycznym zestawieniu ze środkami melodii, rytmu i harmonii odtwarzać rozmaite zjawiska wzrokowe i symbolizować uczucia bohaterów. Z dawnej opery o treści komediowej powstała z czasem **operetka.**

W wieku XIX, w okresie romantyzmu muzycznego, do muzyki przenikają coraz silniej nowe pierwiastki: ludowe i narodowe.

Wybujały rozkwit instrumentalizmu w wieku XIX i rozwój olbrzymich form muzycznych w epoce po-romantycznej, wywołał pod koniec XIX w. i z początkiem w XX jakby rodzaj reakcji, której wyrazem są nowe kierunki muzyki, określane mianem ekspresjonizmu i impresjonizmu muzycznego, analogicznie do tych samych kierunków w poezji i malarstwie. Kontynuuje się romantyzm muzyczny, dając przewagę formom drobnych rozmiarów i formom swobodnym, stosując chętnie pierwiastki gam egzotycznych. Powstają tak zwane **przeboje** albo **szlagiery** tak lubiane przez młodzież dzisiejszą.

Mają formę nową, swój własny „język".

Każda forma muzyczna ma inny charakter i każda może być piękna.

Przechodząc ulicą ocieramy się o jakiegoś śpiewaka podwórzowego. Nie zwracamy nawet uwagi na jego śpiew. Jeślibyśmy jednak usłyszeli tę samą pieśń z ust Beniamino Gigli, albo innego artysty za złotem w gardle zachwycalibyśmy się jej pięknem.

Żona: — Słuchajno, co się z to- — Moja pani Kluseczkowa dla-

POMYŁKA

skupić.

Jest jakiś roztrzęsiony, zapomina się i wszystko mu leci z rąk. Sam nie wie co jest...

Może dlatego, że dziś niedziela.

W taki piękny świąteczny poranek idzie się zwykle do kościoła, kupuje gazetę u „cioci Soszyńskiej" w kiosku, potem siada się gdzieś na ławce w parku i czyta.

Można też pójść na małe piwo.

Naczelnik Mauthe na pewno pójdzie na piwo. Poszedł do kościoła, a potem jak zwykle:

— Panie starszy, jedno ciemne!

Bo on może. Jest naczelnikiem. Jak Salwach był naczelnikiem przed wojną, też chodził w niedzielę do kościoła.

Ale dziś ma służbę.

— Panie Reilender, Jarosław woła!

Nie, telegrafista nie śpi. Głowa mu się tylko kiwa, bo całą noc przesiedział przy aparacie.

— 2002 z Radymna — melduje.

Dzwonek. Jeden, drugi, trzeci.

— Hallo, pierwszy-drugi. Szesnaście osiemdziesiąt cztery z Surochowa na piąty!

Kilka obrotów korbą urządzenia blokowego, hurkot przeraźliwy, trzask głuchy, jakby kto kamień do pustego pudła wrzucił, jakaś klapa spadnie trącona palcem i znowu:

— Pierwszy-drugi. M65 z Jarosławia na trzeci!

Pociągi idą jeden za drugim.

Dyżurny Salwach musi uważać, bo w razie czego...

Ale nie. Nikt tak nie uważa jak on. Ani ten flegmatyczny Nowak z góry, który cedzi wyrazy do telefonu głosem tak beznadziejnie bezbarwnym, że ma się wrażenie, iż mówi przez sen, ani stary Kusznir z Radymna, który robi taki ruch w biurze, jakby co najmniej dziesięciu Kusznirów pełniło służbę, ani nawet sam Janusz, choć wydaje się być taki zrównoważony.

On jeden, Jan Salwach.

Dziesięć razy pomyśli zanim coś zrobi, każde słowo, każdy ruch obliczony, wymierzony. Zmysły w napięciu. Całą noc, bez wytchnienia.

Świat się może walić. Wtedy wszystko traci kształty, barwy, woń, roztapia się, przestaje istnieć.

Służba.

Salwach stara się skupić, ale mu się dziś nie udaje.

Dlaczego?

Tak, dlaczego, panie Salwach?

Czy może te wróble niecnoty, co się kłócą zajadle wśród wiśni nie dają się panu skupić, czy ta woń świeża rozkwitłych drzew, która wpada przez zakratowane okno, czy może te blaski słoneczne, co się kładą jasnymi smugami na czarnej podłodze biura, lub ciche brzęczenie pszczół nad kielichami kwiatów?

Nie.

Więc?

Myśl Salwacha biegnie do domu, do młodej żony, którą poślubił przed rokiem. Widzi oczy czarne, przepastne i tajemnicze, droższe nad wszystko, usta rozchylone w uśmiechu słodkim, czuje zapach jej włosów hebanowych, zaplecionych w wałek nad czołem, całą jej postać ma jak żywą przed oczyma.

Maria.

Młoda, piękna, ponętna...

A on?

Zdaje mu się nagle, że słyszy jej śmiech dźwięczny.

Głupcze, stary głupcze! Czy długo jeszcze będziesz się dawał oszukiwać? Nie. Przecież on wie o wszystkim. Już dawno się domyślał. Tak. Maria i Sotnicki. Młody, przystojny, prawdziwy mężczyzna, mogący zrobić wrażenie na kobiecie. Przecież Maria też jest kobietą. Więc dlaczegożby nie...

A jeszcze Sotnicki umie tak słodko przemawiać...

Przychodzi zawsze kiedy on ma służbę. Jakoś tak się zawsze składa.

A potem Maria jest tak dziwnie roztargniona...

Maria... jego żona...

Ta sama, co jeszcze przed rokiem przysięgała mu: Tylko ciebie. Na całe życie.

A dziś?

Salwach omal nie krzyczy z bólu.

— Panie Salwach, co panu jest?

W oczach telegrafisty dwa znaki zapytania. Podniósł wielkie okulary rogowe na czoło i patrzy niespokojnie. Wypukłe, rybie oczy o mętnym spojrzeniu, pogłębione ciemnymi podkowami po nieprzespanej nocy, latają błędnie po całej postaci Salwacha.

— Co panu jest?

— Nic, nic, gorąco...

Opiera się o szafę i ociera czoło chusteczką.

— Tak, tak, upał, niemożliwy upał.

Telegrafista opuszcza okulary i pochyla się nad aparatem. Jest znowu senny i głowa zaczyna mu się kiwać. Powoli pochyla się ku piersiom, zwisa chwiejnie, prawie nosem dotyka stołu, nagle otrząsa się, podrywa ku górze, prostuje i znowu zaczyna spadać w dół ciężko i bezwładnie.

Jest chwila ciszy, tylko z drugiego pokoju dolatuje monotonny głos kasjera, który liczy pieniądze przy okienku.

A telegrafista już śpi na dobre.

Szczęśliwy człowiek. On nie zna tych niepokojów i wątpliwości, co szarpią duszę, tego jadu podejrzeń co się sączy do serca i zatruwa dni i godziny życia, tego bólu, co łamie i przygniata człowieka do ziemi. Ma dnie i noce spokojne. Szczęśliwy.

A ten młody praktykant przy kasie? Skończył właśnie liczyć pieniądze, zamknął z trzaskiem okienko i teraz siadł i czyta gazetę. Czy on chociaż wie co to jest miłość? Czy on...

Rozkrzyczał się nagle telefon, długo i przeciągle. Urwała się cisza. Ręka telegrafisty zaczęła skakać nerwowo na kluczu aparatu telegraficznego.

— M 112 do Jarosławia!

Za nim osobówka z Radymna.

A za nią towarowy z Surochowa.

Trzy pociągi, jeden za drugim.

Salwach jest przy telefonie, jest przy telegrafie, przy bloku, jest wszędzie. Teraz wychodzi na plac, bo zajeżdża osobówka.

Wagony puste jak zwykle w niedzielę o tej porze. Parę głów w końcowych wagonach.

Salwach przebiega oczyma cały pociąg. I nagle...

Salwach omal nie krzyknął.

Tam, tam w pierwszym wagonie od maszyny!...

Dusi go coś za gardło i tchu mu brak.

W tamtym oknie. Sotnicki. Uśmiecha się szelmowsko i kiwa głową.

Salwach ściska swój krążek sygnałowy mocno, jakby go chciał zmiażdżyć w dłoni. Do krwi niemal.

W głowie chaos myśli, przypuszczeń, podejrzeń.

Sotnicki jedzie osobówką. Więc?...

Był tam. U niego w domu. A teraz wraca. — I nagle szereg obrazów, szereg scen następujących po sobie jak w kinematografie przesuwa się przed jego oczyma.

Maria i Sotnicki. Przychodzi, a ona przyjczęstuje kawą. — Widzi wyraźnie jakby był w tej chwili w tym pokoju. — Sotnicki zaczyna mówić, przechyla się ku niej, coś szepcze na ucho. Maria się śmieje, zatyka mu ręką usta, aby nie mówił dalej.

Salwach wie czego on chce.

Teraz bierze ją za rękę, przysuwa i obejmuje. Ona udaje, że się broni, niby mu się wyrywa, niby go odsuwa lekko, ale potem sama zarzuca mu ramiona na szyję. Jest rozpromieniona i szczęśliwa. Oczy jej błyszczą i twarz się śmieje do niego. — Teraz Salwach widzi jak się całują długo i zapamiętale. Osunęli się na krawędź kanapy, krzesło upada trącone w krótkim szamotaniu i...

Salwach jak wariat wpada do biura.

Ręce mu latają i oczy płoną blaskiem niesamowitym. Włosy zlepione na czole mokrym od potu.

Dlaczego ta ryba w okularach patrzy na niego tak dziwnie?

Czego chce ten fircyk w białych skarpetkach i sztywnym kołnierzyku? Przecież nic się nie stało, nie. Tylko tam w pociągu koło maszyny... czy wiecie? Panie Reilender, panie Mielniczek, tam w ostatnim oknie... Sotnicki. — Jej kochanek — był tam całą noc — a teraz wraca pociągiem.

Wraca pociągiem...

Salwacha uderza dźwięk tych dwóch wyrazów i nagle myśl szalona rodzi się w jego mózgu. Rzuca okiem na taśmę. Telegramu zwrotnego nie ma. Towarowy już dawno powinien być w Jarosławiu. Pewnik: stoi pod semaforem. Przed oczyma Salwacha tańczy ciągle ta twarz uśmiechnięta w ostatnim wagonie.

— Panie Mielniczek, zaniesie pan rozkaz maszyniście.

Głos jego brzmi niesamowicie, jakby nie z jego gardła wychodzący.

— Odjazd?

— Tak.

Praktykant bierze rozkaz i wychodzi.

Salwach patrzy za nim osłupiałym wzrokiem. Chce nagle biegnąć za odchodzącym, krzyczeć, zatrzymać, ale obraz uśmiechniętej twarzy Sotnickiego przykuwa go do miejsca. Jest już spokojny, tylko pot kroplisty wystąpił na czoło pobladłe.

Za oknem migają ostatnie wagony odjeżdżającej osobówki.

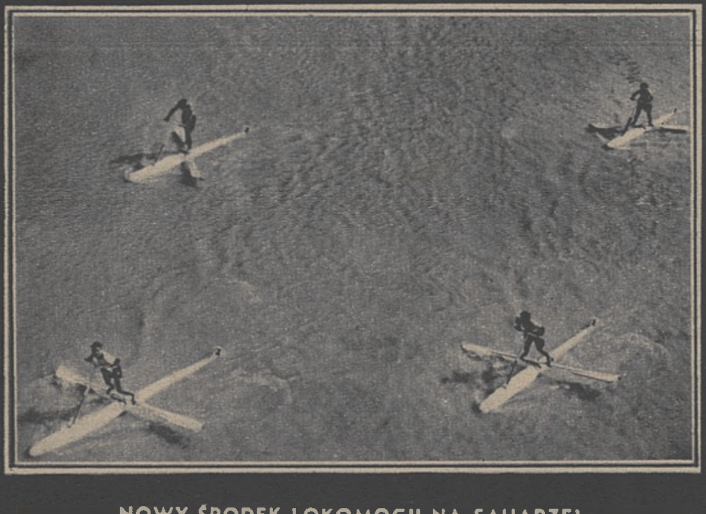
A potem cisza. Telegrafista dłubie zapamiętale w nosie, kasjer kończy przeglądać gazetę. W kącie koło pieca przykucnął stacyjny Maga i drzemie. Jakaś zabłąkana pszczoła wleciała przez otwarte okno i tłu-

Dokończenie na str. 10-tej

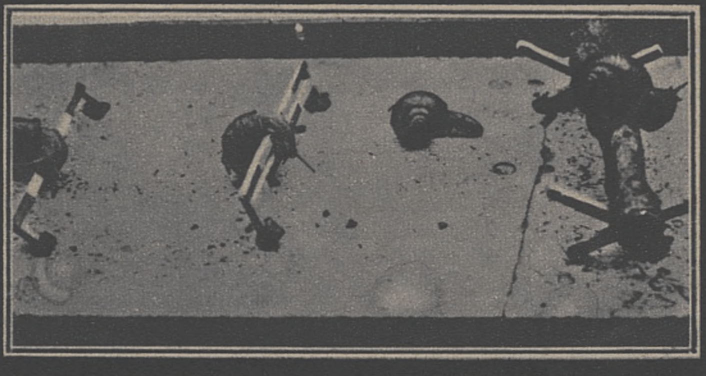
ZE ŚWIATA



TO NIE „ZBÓJNICKI", ALE NARODOWY TANIEC NORWESKI „HALLING"
Charakterystyczny jest w nim skok, w którym nogi muszą być powyżej głowy.



NOWY ŚRODEK LOKOMOCJI NA SAHARZE!
Nie, to tzw. „jaskółki morskie" na Tybrze, eleganckie rowery wodne, które pozwalają osiągnąć prędkość 10 km na godzinę.



Z BAJKI TYSIĄCA I JEDNEJ NOCY: RÓD ŚLIMACZY URZĄDZA ZAWODY BIEŻNE Z PRZESZKODAMI
Na pomysł taki wpadł student z Bukaresztu i zdobył sobie tym wielki rozgłos.



JESZCZE RAZ JAJKO KOLUMBA!
Słynny „artysta" pan Kogut Yoko popisuje się w swej nowej kreacji.

Fot.: Scherl 2, Atlantic 1, Weltbild 1

Ciąg dalszy ze strony 9-tej

cze się rozpaczliwie pod sufitem. Przestały stukać aparaty, umilkły telefony.

Zegar wybił godzinę dziesiątą i... stanął.

Dwie minuty temu odjechała osobówka.

Dlaczego taka cisza?

Dlaczego, na Boga, pan nic nie mówi, panie Reinlender. Dlaczego ten Maga dziś nie chrapie, dlaczego nikt nie dzwoni, nic się nie dzieje, dlaczego ta cisza okropna?

Dwie minuty temu odjechała osobówka. A w Jarosławiu pod semaforem stoi towarowy.

Ręce Salwacha zaczynają drżeć, na twarzy bladej, mokrej od potu maluje się jakaś walka wewnętrzna.

Oparł się o futrynę drzwi i oddycha ciężko, gwałtownie. Na czole zmarszczka postanowienia, nagłej decyzji. Wzrok pada na śpiącego przy piecu.

I nagle krzyk okropny, krzyk dobyty z ostatnich głębin trzewi ludzkich, ścinający krew w żyłach, przeszywa ciszę:

— Maga!!!

Jakby siłą przemożną pchnięty Salwach odrywa się od futryny i leci ku wyjściu.

— Zatrzymać pociąg!!!

Stacyjny zrywa się i zagarnia rękami powietrze, jak ktoś, kto wpadł nagle do wody.

— Zatrzymać pociąg! To pomyłka!

Maga jeszcze nie rozumie. Wlepił zaspane oczy w dyżurnego i coś bełkoce niezrozumiale.

A Salwach już wyleciał na plac jak szalony. Z osobówki ani śladu. Telefon, gdzie jest telefon?

— Hallo, blokowy, zatrzymać pociąg!

Blokowego nie ma przy aparacie. Jest na placu. Dzwonek jeden, drugi, trzeci.

— Posterunek 167, zatrzymać pociąg 2002!

Nie ma odpowiedzi.

Salwach dzwoni raz, drugi, dziesiąty. Cisza. Milczy blokowy, milczy 167, milczy Jarosław.

— Panie Reilender, dlaczego pan nic nie mówił, że nie ma zwrotnego?

— Przecież pan wiedział...

Twarz Salwacha z bladej robi się szara jak popiół. Opuszcza ręce bezradnie, słuchawka z trzaskiem spada na podłogę.

Z ust roztrzęsionych wyrywa się jedno słowo: Za późno.

Jest cicho. Tak cicho, że słychać bzyk pszczoły gdzieś koło okna.

— Nagle aparat zaczyna stukać. Telegrafista melduje:

— Jarosław zamyka obydwa tory.

Cichy jęk odpowiedzią.

Tam się coś musiało stać.

Nikt się teraz nie śmie odezwać pierwszy. Każdy to samo czuje, to samo myśli, to samo wie, ale milczy. I ta cisza cięży wszystkim. Wtem...

Rozkrzyczały się wszystkie telefony, odezwały się jak na komendę aparaty telegraficzne niosąc światu jedną wieść:

— Ka-ta-stro-fa!

Co, jak, gdzie?

Osobówka najechała na towarowy. Pięciu rannych, jeden zabity.

Ruch, krzyk, latanina. Władza i śledztwo.

Przyleciał naczelnik z kościoła, wpadł na górę do mieszkania, zrzucił jasne, świąteczne ubranie i już jest w biurze sztywny i urzędowy w swoim mundurze kolejowym.

Naturalnie: Salwach. Ma chłop pecha. Ale jemu by się to nie zdarzyło. Ma ruch w jednym palcu.

Teraz włożył na głowę czerwoną czapkę dyżurnego i będzie aż do wieczora pełnił służbę. Bo Salwach jest dziś skończony. Stoi tam teraz w kącie złamany i wodzi za ludźmi wzrokiem zbitego psa.

Nawet się słowem nie odezwie. Bo po co. Czy go kto zrozumie?

Skończone już, wszystko skończone.

Patrzy na ten cały ruch, na tę bieganinę jakby to wszystko było dla niego jakieś bardzo dalekie, ci ludzie całkiem mu obcy i nieznani. Zaczyna tracić poczucie rzeczywistości. Wie tylko jedno, że on już nie jest dyżurnym. Teraz tamten obcy człowiek ma na głowie jego czapkę i robi to wszystko, co on jeszcze przed chwilą wykonywał. Kto to jest? Czego tu chce? Dlaczego mu zabrał jego czapkę?

Salwach musi wyjść, bo mu brak powietrza.

Co to za zbiegowisko tam na torach?...

To rozbite wagony maszyna przywiozła z Jarosławia.

W jednym z nich jest ten zabity.

Salwacha coś ciągnie tam do tych ludzi, jakiś głos wewnętrzny, jakaś siła pcha go naprzód ku tym wagonom.

Ludzie rozstępują się w milczeniu. Tam leży Sotnicki. Jeszcze go nie widać, ale on wie. Siedział w tym wagonie, który on poznaje z daleka.

Salwach podchodzi bliżej i nagle robi mu się dziwnie nieswojo.

Co to jest?

Z rozbitego, zgniecionego przedziału zwisają obnażone nogi jakiejś kobiety, głowa i reszta ciała uwięzione między ławkami. Na ziemi kałuża zaskrzepłej krwi, która dużymi kroplami ścieka po kołach na szyny i progi dębowe.

Jeszcze jeden krok i Salwach kamienieje.

— Maria!!!

Głos grzęźnie mu w gardle. Tylko szept przytłumiony, straszliwy, szaleńczy dobywa się z ust bezkrwistych.

Patrzy nieprzytomnym wzrokiem na ten krwawy strzęp ciała ludzkiego i nagle wszystko dokoła niego zaczyna się kręcić, skakać, tańczyć, podrygiwać. Ludzie, drzewa, budynki, wagony i pola, prędko i coraz prędzej. Chwyta się obiema rękami jakiejś deski wystającej i przypada z jękiem do ciała.

— Przebacz — to pomyłka — nie wiedziałem, że i ty także w tym wagonie, w tym pociągu... to pomyłka...

Całuje obnażone nogi i potrząsa ciałem jakby chciał z niego jeszcze iskrę życia wykrzesać.

Nagle zrywa się, rzuca błędne spojrzenie dokoła i zaczyna biec ku stacji z krzykiem szaleńczym:

— To pomyłka! Panie naczelniku, to pomyłka! Pomyłka! Pomyłka!!!

I pada bez czucia u progu biura.

— — — — — — — — —

Nazajutrz gazety donosiły, że sprawca katastrofy kolejowej w Jarosławiu, dyżurny Jan Salwach dostał pomieszania zmysłów.

Edward Mielniczek

SPOSÓB NA ŻONĘ

HUMORESKA

Na jakim tle rozwinęła się właściwie w panu Andrzeju Gawełku przesadna zazdrość o żonę? Pani Gawełkowa była, owszem, niewiastą niezwykle dziwną. Miała miłe, łagodne usposobienie, przepadała za życiem domowym i wcale nie zdradzała żadnej specjalnej kokieterii. Nie miała w sobie nic z tego, co by ją mogło zdyskredytować w oczach kochającego, przykładnego męża.

A jednak... Coś się takiego z jej mężem stało, że po prostu na punkcie wierności żony dostał „bzika". Ustawicznie kontrolował ją telefonami z miasta, sprawdzał czy rzeczywiście w danej godzinie przymierza suknię u krawcowej albo robi „manicure" u swego fryzjera. Raz nawet posunął się tak daleko, że uzbrojony w cierpliwość i duże czarne okulary jechał za żoną wciśnięty w róg taksówki przez cztery ulice, chcąc się koniecznie dowiedzieć dokąd idzie.

No i dowiedział się. Jego małżonka weszła do sklepu, skąd wyszła niebawem z małą paczuszką. W tej paczuszce był krawat, jak się później okazało. Na drugi dzień były właśnie jego imieniny, no i oczywiście w prezencie otrzymał ten krawat. Poznawszy swój błąd zawstydził się.

Zazdrość ma jednak to do siebie, że nie kieruje się żadną logiką. Arystoteles nie dogada się nigdy z Otellem. Już nazajutrz pan Andrzej dostał znów ataku i to zupełnie z błahego powodu. Żonie ukłonił się na ulicy jakiś młody, przystojny mężczyzna.

— Kto to jest? — zapytał obcesowo.

— Pan Tomasz.

— Tomasz? Nie znam takiego! Gdzie go znów poznałaś?

— Jak to, nie pamiętasz? W zeszłym roku na przyjęciu u Boczyńskich zapoznaliśmy się z nim oboje!

— Nie przypominam sobie wcale!

Skłamał oczywiście, bo tego pana Tomasza rzeczywiście sobie przypomniał. Ale nie chciał skapitulować. Nasrożył się, nachmurzył i w kinie może by mu było nawet przeszło, ale srebrny ekran znów rozpętał w nim zazdrość. Jakaś urocza, ale niewierna żona, całowała się na tarasie willi z demonicznym, mocno podejrzanym typem.

— Tak, tak... — mruknął Gawełek, wychodząc z kina.

— Co „tak, tak?" — zapytała zdziwiona pani Gawełkowa.

Lecz mąż nic nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się gorzko i sentencjonalnie. Któregoś dnia Andrzej siedział w kawiarni przeglądając najnowsze gazety. Właśnie wyczytał, że Ireny miewają szczęśliwą rękę do interesów i lubią dzieci, ale są niestałe. (Pani Gawełkowej było na imię Irena). Zerwał się z krzesła natychmiast i uregulowawszy rachunek, wypadł rozdrażniony na ulicę. Głuchy był na wszystko. Nic absolutnie nie słyszał i nie widział, tylko myślał o zdradzie.

— Trzeba jakoś temu zaradzić! — westchnął. — Pojutrze muszę wyjechać, a wtedy Irena...

Nagle w obolałej głowie jego zabłysnął nikły promyk nadziei.

— Przecież mam w domu papugę! Już wiem, co uczynię! — uradował się, znajdując fenomenalne rozwiązanie trudnego problemu.

Udał się do sklepu i wybrał najmasywniejszą klatkę drucianą, do której następnie przeniósł swoją papużkę. Klatkę przy pomocy murarza przymocował do ściany sypialni małżeńskiej, a drzwiczki zamknął na małą kłódeczkę, tak że jedzenie trzeba było podawać przez ściankę.

Potem zabrał się gorączkowo do „uświadamiania" papugi co do jej przyszłych, a doniosłych zadań. W ciasnym mózgu papużki musiała z woli pana Gawełka zmieścić się zawiła, aczkolwiek bardzo aktualna, maksyma życiowa: „Wierność jest najcenniejszym klejnotem każdej żony". Po kilkugodzinnej próbie papuga płynnie wymawiała całe zdanie akcentując specjalnie pierwszy wyraz przez podwajanie „r".

Nazajutrz papużka w kółko Macieju powtarzała już do znudzenia: „Wierrność jest najcenniejszym klejnotem każdej żony"...

Uspokojony pan Gawełek wyjechał.

Jakież było dopiero jego zdumienie i przerażenie, gdy wróciwszy po paru dniach podróży, żony, pomimo późnej pory, w domu nie zastał. Pobiegł do kuchni.

— Czy dawno pani wyszła?

— Dawno.

— A nie wie Marysia czasem dokąd?

— Nie wiem, proszę pana! Pani, jak pana nie było, co wieczór wychodziła, bo od paplania tej papugi aż w uszach wierciło...

— Wiem, wiem, ale gdzie teraz może być?

— Pewnikiem gdzie w kawiarni, albo może w kinie?...

Pan Gawełek zbladł, jak ściana.

— A pani sama wyszła?

— E, gdzie tam... ten pan dyrektor niby kuzyn naszej pani...

— Jaki kuzyn? — wrzasnął, aż szyby zadrżały.

— No, ten pan dyrektor, któren co dzień po naszą panią przychodził, odkąd w mieszkaniu bez te wredną papugie nie można było wytrzymać... Dziś też wstępował.

Pani Irena wróciła bardzo późno do domu, z błyszczącymi oczami. Uradowała się z powrotu męża i objęła go serdecznie za szyję.

Ale pan Andrzej nie oddał żonie pocałunku.

Siedział ponury, jak noc i medytując nad afirmacją swoich podejrzeń, mruczał pod nosem:

— A to cymbał ze mnie!... A to cymbał!...

Roman Buk

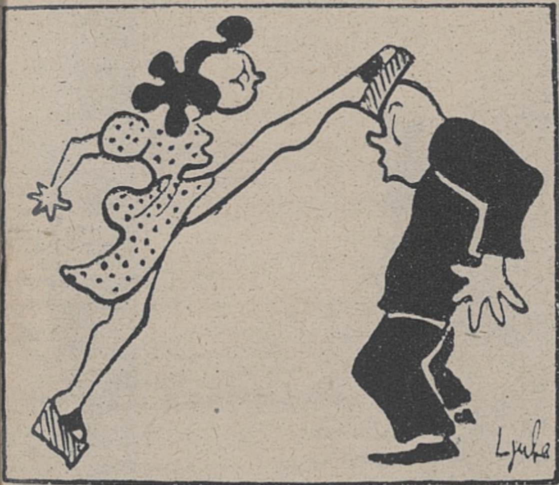
DREWNIANA BROŃ



Przedhistoryczna....



Klasyczna.....



Nowoczesna..... (Die Post)

— Pan ręczy, że tej pancernej kamizelki nie przebije żadna kula?

— Naturalnie, proszę pana — może pan w nią ubrany iść pod kule choćby dziesięciu przeciwników. A jeżeli która kula przebije, ja zwracam pieniądze.

*

— A więc ożenił się pan z królową swojego serca?

— O, tak i dzisiaj wygłosiła już pierwszą mowę tronową.

Żona: — Słuchajno, co się z tobą dzieje, co noc mówisz przez sen.

Mąż: — Wybacz, duszko, ale kiedy ja właściwie mam mówić skoro we dnie nie dopuszczasz mnie do głosu.

*

— Czy pamiętasz Stasiu, kiedyś mnie prosił o rękę, przyrzekałeś, że będę mieć co najmniej dwie służące.

— No, tak — możesz ich mieć nawet dwadzieścia, ale — jedną po drugiej.

*

Pokojowa do artystki: — Czy wieczór był uwieńczony sukcesem?

Artystka: — Niestety, skończyło się tylko na oklaskach. Już minęły dobre czasy, gdy mnie zarzucano owocami i ziemniakami.

*

Ona: — Ci młodzi małżonkowie, którzy mieszkają nad nami są tak bardzo zakochani. On ją całuje na przywitanie i gdy odchodzi. Dlaczego ty tego nie robisz?

On: — Przecież znam ją jeszcze za mało.

*

— Szanowna pani ma wspaniałe włosy!

— Nic dziwnego, odziedziczyłam je po matce!

— Po matce? No to doprawdy są świetnie zachowane!...

*

— Nie, panie Józiu, nie mogę pana wysłuchać gdyż pan nie jest zdolny do wierności...

— Ależ panno Ziuto, niech pani spyta kogo pani chce, choćby swoich przyjaciółek Izy albo Ewy, czy one za mną nie zaświadczą...

— Moja pani Kluseczkowa dlaczego pani pozwala swojemu Antkowi palić? Przecież to szkodzi chłopcu na zdrowiu i kosztuje sporo grosza!

— Tak, ale potem przez trzy dni, nic nie je.

*

U państwa Kręcikiewiczów wielkie przyjęcie. Po obiedzie mama przedstawia gościom swoje pociechy.

— No, a ty, maleńka — żartuje łaskawie pan dyrektor szkoły, zwracając się do małej Irusi — potrafisz pomagać już mamusi w gospodarstwie?

— Tak, proszę pana — odpowiada miłe dziecię. — Ja zawsze po odejściu gości muszę przeliczyć wszystkie łyżki, czy która nie brakuje.

*

KWIATKI SĄDOWE

Prokurator: — Panowie przysięgli!... Spojrzyjcie na twarz oskarżonego. Jest to zwierciadło, w którym każdy z was ujrzy oblicze zwyrodnialca.

*

— A teraz już pytam, nie jako adwokat, ale jako uczciwy człowiek.

*

— Wszystko to odbyło się jak błyskawica w ciągu dziesięciu minut.

*

— Wobec tego zagadnienia, stają bezradni nawet ludzie bardzo inteligentni. Nic dziwnego, że nie potrafią na nie odpowiedzieć sędziowie!...

*

— Czyż jest prawo, zabraniające nieboszczykowi pisać testament na łożu śmierci?



Dlaczego nosi pan ten daszek nad oczyma?
Jestem człowiekiem żonatym..... (Hamburger Illustrierte)

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

— Zauważyłeś, że suknia tej śpiewaczki, każdego wieczoru jest krótsza?

— Tak, a ile wieczorów będzie jeszcze tutaj występowała?

*

Pani Weronika zwraca się do służącej:

— Cóż tam za hałas na ulicy, Marysiu?

— A bo proszę pani, auto chciało skręcić w boczną uliczkę...

— To z tego powodu taki rwetes?...

— Tak, bo się okazało, że żadnej bocznej ulicy nie ma...

*

— Czy pani kiedy spotkała mężczyznę, którego najlżejsze dotknięcie każdy nerw pani pobudzało do drżenia?

— Owszem, mego dentystę.



Panienka się pyta o mój zawód?
Jestem „człowiekiem-wężem" w variete, „Gloria". (Wiener Illustrierte)

SZACHY

KĄCIK SZACHOWY Nr. 17 (48)

A. DZIAŁ ZADAŃ

3-chodówka Nr. 17. (48).

Ph. Kranjc (»Wiener Schachztg.« 1936).

Czarne: Ke4, Hd5, Gh8, Sa2 e2, piony: a6, d6, f4, g6. (9).

Białe: Kg3, Wb7, Gf2 g8, Sd7 f3, piony: c2, g4 (8)

3-chodówka. 8 + 9 = 17.

Mat w 3 posunięciach.

Końcówka (studium) Nr. 17 (48).

H. Rinck (»National Ztg.« Basel 1921).

Czarne: Ka6, Wc1 h8. (3).

Białe Ka4, Wb5 h5. (3).

Końcówka (+) 3 + 3 = 6.

Białe zaczynają i wygrywają.

Rozwiązanie 3-chodówki Nr. 16 (47) (Tschirschwitz): 1. S—d5 c×d5 2. S—c4 d×c4 3. G—d1 2... G×c4 3. G—d7 ×.

1. G—b3? G—c4? 2. S—e6!! lecz 1... d5!!

1. S—d3? G×d3, 1. S—h5 H×a4 2. W—f3 H—d4!!

Rozwiązanie końcówki Nr. 16 (47) (Troicki) 1. K—h6 S—d5! 2. S×d5 a2 3. S—f6 a1 h 4. S—f4 H×f6† 5. S—g6 K—g8 pat.

Końcówka. (+) 7 + 6 = 13.

PARTIA Nr. 87 (89).

Białe: Schulmeister — Czarne: Palatz

grana w turnieju drużynowym w Hamburgu w r. 1936.

Gambit hetmana.

1.	d4	e6	10.	d×c5	G×c5
2.	c4	S—f6	11.	H—c2(3)	S—c6
3.	S—c3	d5	12.	a3	S—e5
4.	e3	G—b4	13.	G—e4	S×e4
5.	G—d3	0—0	14.	S×e4	W—c8
6.	Sg—2(1)	d×c4	15.	S×c5	W×c5
7.	G×c4	b6	16.	S—c3(4)	S—f3†₂
8.	0—0	G—b7	17.	K—h1	H—h4
9.	G—d3(2)	c5	18.	h3	S—e1₂

Białe poddały się.

UWAGI:

(1) Teraz 6. S—f3 było pewniejszym.

(2) Należało grać: 9. S—g3.

(3) Jeszcze teraz było możliwym 11. S—g3 aby umożliwić hetmanowi zajęcie pola e2. Hetmana pozycja na c2 jest bardzo niekorzystna.

(4) Umożliwia błyskawiczne zakończenie. Cofnięcie hetmanem na a4 chroniło przed bezpośrednią katastrofą, nie przed przegraną.

UWAGA! FOTOAMATORZY!

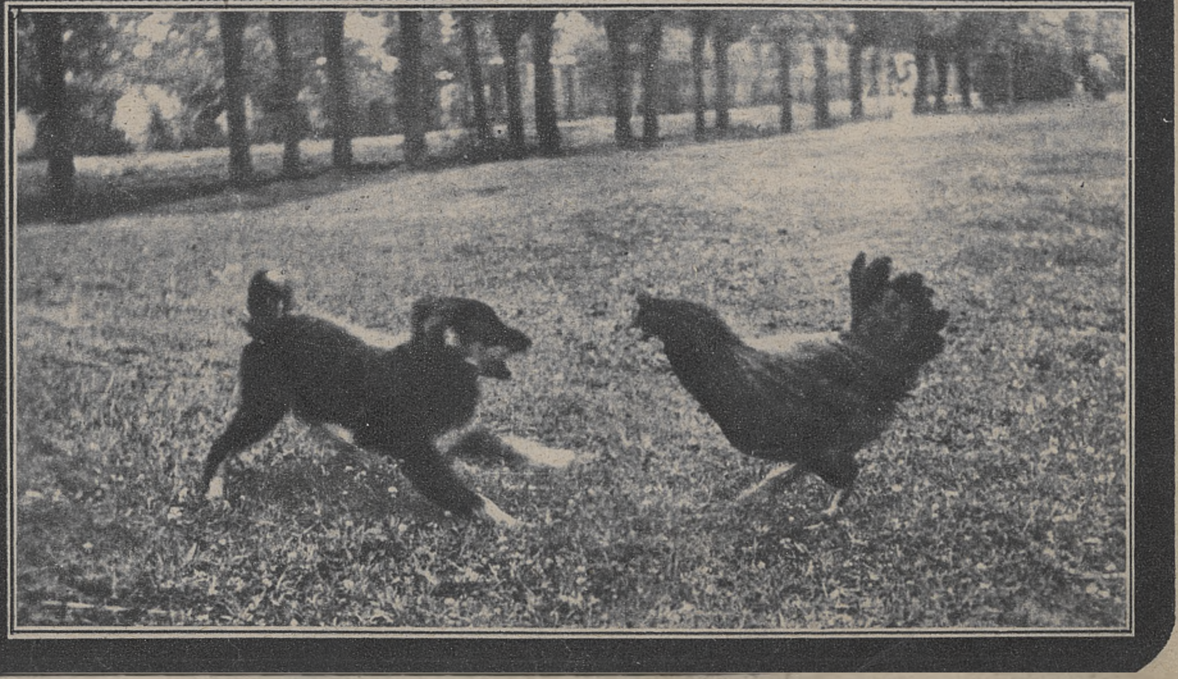


POGWARKI JASKÓŁEK

Proste lecz oryginalne zdjęcie. Wykonał p. Adam Wójs z Limanowej. Aparat „Bessa" Voigtländer, przysłona 11, czas naświetl. 1/50 sek.

PODWÓRZOWY KONFLIKT

Przykładnie podchwycony i utrwalony moment. Nadesłał p. Wł. Wójcik z Łyszkowicz. Aparat Zeiss-Ikon, przysłona 6.3, czas naświetl. 1/25 sek.





FOT.: SCHERL

ODPOCZYNEK

OBRAZ OLEJNY FRANZA XAVERA STAHLA